

PAWEŁ STAŚKO.

## IDYLLA

Coś w piersiach Janki topniało z dnia na dzień i nachodziło słodkimi łzami.

Nie był to ból, ni żadna fizyczna dolegliwość, nawet jasno określona tęsknota, zaczęła bowiem albo-li za kim mogła dążyć tęsknić ona, sierota, nauczycielka skazana na wygnanie w górskiej wioszczynie, odgradzona od świata, niemal od ludzi, pędząca żywot cichy i smutny pośród nie-mytych i nieuczesanych wiejskich dzieci i wśród tuzina książek, które przywiozła w koszu na początek swej kariery?

Chyba za uściskami ledwie zapamiętałej matki, za wspomnieniami pierwszych dziewczęcych chwil, wszak bo późniejsze były już bez uroku, bez ponęty i jasności, były chwilami uczeni- nicy zarabiającej na utrzymanie lekcyami, a nocą pracującej nad sobą.

Tęskniła może wreszcie w tem zapadłem ustroniu za rojem miastem, pełnem nowości i rozrywek, za ludźmi co plynęli przez place i ulice, jak barwny potok, wiecznie wezbrany i nęcący, swobodny i śmiejący, zawsze spowity jakąś narkozą mocną i mimowoli odurzającą.

Wprawdzie chwilami unosiła się dusza Janki kędyś w daleki świat, w błyszczące i gwarne miasta, wpaadały jej w źrenice strzępy magicznych wizyj, alisci to, co się teraz wzniecało w piersiach dziwnym płomieniem — było czemś innem, bardziej rozwianem i nieuchwytnem, jak gdyby fala jakąś błogą, jak gdyby tchnieniem wioną cem na nią z niebios i słońca i z gór i zewsząd.

Cała była w tej tajemniczej zjawie, tonęła w niej jak w morzu, czując zarazem, że środkiem onej władzy emanującej w wszystkie strony — jest jej rozdziałne serce.

Zaledwie kilka dni jak weszła w tę cudną fazę myśli i uczuć, a już widziała się owładniętą jej balsamicznym czarem, spoila liana ni rozkosznych dreszczów, niby ramiony niewidzialnego oblubieńca i, mimo bojaźni osamotnionej dziewczęcia, mimo niewiary w świat, której uczyło ją sieroctwo, czuła — że kocha.

Bóstwem miłości jej był jeszcze koszmarny, złuda męskiej postaci, ktoś nieokreślony i fantastyczny, urojony z majaków bezsennych nocy, niby królewicz z bajki, ktoś atomiczny, rozprószone w powietrzu, w słońcu i kwiatkach marzeń.

Dotychczas spało jej serce — i tam wśród pokus miasta, i tu przez pierwsze długie miesiące wiejskiej samotności, aż oto wiosna, ta pierwsza wiosna na wsi przeżyła, wśród gór i słońca, w całej swej pełni, ta wiosna ją ocknęła i nakazała kochać — na przód ten urok majestatycznej przyrody, a potem sny marzennych nocy, ucieleśniające się coraz bardziej, coraz jej bliższe i jakby żywe.

Lecz z biegiem dni te złudy zaczęły ją przerażać, rozniecały bowiem światy miłosnych pragnień, nie dając nic, prócz chyba większego głodu i coraz oichlanniejszych tęsknot.

Rycerz wysniony nie przybywał, zawisł kędyś w powietrzu, zmieniając w mękę jej słodkie oczekiwanie. Wreszcie straciła wiarę w jego przyście. Uzuła się teraz samotną, wprosi do rozpacz, jak nigdy dotąd. Poznała, że to już losem jej i że na tem wygnaniu przetęskni bezowocnie całe swe życie. Że tu już jest jej dom, kajdany życia, a potem grób. Wszak tu, albo gdziekolwiek, niema dla niej innego schronu, wszędzie musi być sama, obca dla ludzi i ludzi dla niej obcy.

Kochała teraz cały świat, swoją samotność, mękę i przeznaczenie — kochała sama nie wiedząc czemu, przez łzy, przez własną rozpacz — czuła konieczność tej miłości, ogromny nakaz wśród tych cichych wieczorów i czarodziejskich nocy, a ją za tę olbrzymią miłość kochał nie rycerz z snów, nie ten kochanek wymarzony, ale... góralczyk — Jędrak.

I więcej nikt, nikt, jak tylko Jędrak... Prawda, junak, jak górski orzeł, gibki jak smrek, o oczach raz jak z ognia, to zasnę cichych i modrych jak bławaty, głębokich jak lazuruwa toń jeziora, z których płynęła prosta, bezdenna, niewyszukana miłość ku tej „panience z miasta“, podobnej zorzy, Jance...

Jędrak ją tylko kochał w całym świecie, do niepamięci, kochał jak świętą z kościelnego

obrazka, on prostak, Jędrak, syn gospodyni Janki, zwyczajny góral, ale niezwykły grajek...

Janka czytała z ócz chłopaka miłość i uwielbienie bezgraniczne i... darzyła go niekiedy chwilą rozmowy. To jej starczyło by się zabawić jego sercem, widzieć jak wichry jego oczu topnieją przy niej, jak pokornieje i zamilka, staje się cichy i nieśmiały i tylko w nią spogląda jak na tęczę, jak tłum oddech i jak źrenice jego grają blaskami wielkich, ledwo wstrzymanych uczuć.

Chwile takie trwały dosyć często, jako jedyna rozrywka i urozmaicenie samotności Janki. Było jej lżej na sercu i weselej, że przecież „ktoś ją kocha i że ktoś myśli o niej. Wprawdzie traktowała tę miłość jako zabawę, lekko, chociaż czasami i żal jej było Jędraka. On jeden wszakże modlił się do niej oczyma, rzucał kryjomo kwiaty przez okno, grywał na przyzbie dla niej jedynie, wiedziała również, że gdyby słowo rzekła — wszystkoby dlań uczynił, on jeden mściłby jej krzywdy, nie ważąc nawet życia, bardziej jak brał, on jeden tylko.

I były chwile takie, iż żałowała dlaczego on prostakiem, w kierzach i gunt... Pałała wprawdzie w jego twarzy uroda, świeża, twarda jak krzemień, ostra jak zapach świerkowego lasu, rwąca jak skalny potok, lecz nie ta wygładzona „kultura“, oszlifowana miastem, gładka jak wąż, fa-szująca, rafinowane strojna, jaka się Jance śniła... Jego było czuć ciepłą, a gdyby, gdyby nawet i nie to. to był góralek, chłopcem, nie dla niej.

Jednakże wolno, wolniutko, im głębiej tonęła w samotności, im bardziej oswajała się z swoim losem, różnice te zaczęły się zacierać, ginąć w przepaści, tak, że zabawa Janki przybrała nieco inny charakter, mniej płochy i nieszczerzy, poważniejszy.

Polubiła Jędraka za jego miłość, usługowość, za to, że był dla niej imaginacją obroną, bezbrzeżnie dobry, że wyczuwał jej smutek i starał się go rozwiać, mail mieszkała w girlandy z limby i kwiatów — byle tylko było jej milej i weselej, byle dojrzeć w niej uśmiech zadowolenia i zapomnienie — że jest samą.

Może w uczuciu Janki tlała iskra miłości, mała, ukryta, lecz nie wiedziała o niej. Lubila Jędraka tak jako brata, może inaczej trochę, może goręcej, pragnąc zarazem, aby i on tem jej odpłacił, tem tylko. Jednakże serce Jędraka było stokroć hojniejsze, miłość zalała je jak morze, urzekła i podbiła i nauczyła kochać w skrytości, oblec się w tajemnicę, że tylko oczy, jak nieposłuszne posty, zdradzały ogrom pożarnych uczuć, bo usta bały się wyrzec słowa do tej królowej jasnej, pięknej jak najcudniejszy kwiat, o rączkach białych i delikatnych i oczach słodkich jak samo niebo.

Chwilami czuła szczęście na widok tej miłości zakutej w dyby onieśmienia i jakowegoś lęku, to znów żal ją porywał, bo boleść wielka, żywcem duszona, miotłała nim jak halny wichur.

Kochał i czuł się wprost niegodnym — by jej to zwierzyć. Truchlał na samą myśl, że ona śmiałość mogłaby ją wypłoszyć, że możeby uciekła.

Janka widziała jego walkę, współczuła z nim i zarazem stawiała się dla Jędraka coraz to lepsza i mniej poważna, więcej rozmowna, trochę z li-tości, trochę ze serca, wreszcie nie mogło być inaczej.

Na przedwczorajszy żart — że przenoszą ją na posadę do miasta, w Jędraka jakby piorun ugodził. Oblał się nagle śmiertelną białością, rozdrzał i niemał mowę stracił. Kiedy odzyskał strwożone myśli, wyrzekł jednym twardym od-dechem:

— Nie damy was, panienko!

— Jakżeż, gdy władza tak zarządza?

— My także władza, chociaż górale! Wpró-dzi spalimy szkołę, ale nie damy! — dyszał, go-tów naprawdę do ostatecznych przeszkód. I jał snuć prędkie plany, groźne, potworne nawet, coby ją zostały nienaruszoną. Nie przypuszczała, że tyle w nim srogości, hardej, mocnej natury, gdyby ktoś zechciał czynić wbrew jego woli i ją naruszyć. W jego mniemaniu ona tu była gwiazdą i tu jej wieczne miejsce, do kó-rego nikt nie miał prawa i przysięgi.

Pierwszy raz Jędrak załpował Jance w większym stylu. Doznała przytem niebywałej radości — iż nie jest tak strasznie samą, osie-roconą, że jest ktoś przy niej, na kogo może li-czyć, że nie zawiedzie nigdy.

I znów stał się jej bliższy, przez łzy radości zdała się już nie widzieć kierzów na jego smu-

kłych nogach i głębiej wnikać w jego oddaną miłość.

Nie dał się prędko uspokoić, jakgdyby nie dowierzał jej odwołaniu. Wreszcie uwierzył swej królowej i znów jak zawsze spojrzał na nią, toniami rozmiłowanych źr nic, ze stokroć więk-szem szczęściem, iż wprost pojąć nie mogła, skąd w tym górskim młodzieńcu znalazło się tyle uczucia i idealnej mocy.

Tego wieczora grał jej Jędrak pod oknem tak czule i zachwytnie, jak jeszcze może nigdy. Zdawało się, że czar miłości napenił skrzypce i struny porwał wielki, nieutulony szloch szczę-ścia i radości.

Janka, jak z trudem pojmowała wielkość jego uczucia, tak znowu gra wirała ją w zdumienie.

Mówili o nim wszyscy, że „złego“ ma w skrzy-picach i dur na ludzi idzie od jego grania, ale i mieli widać słusność. Bo kiedy Jędrak ujął skrzypki, a zagrał, to przemówił niczem czło-wiek, jakąś anielską chyba mową, do jądra serca i leż kryjomych.

Przedtem na swoich skrzypcach grywał ina-czej, dopiero gdy zamieszkała u nich „pani“, gdy zezwoliła swoich skrzypiec, „Bóg wie jakiej roboty i co w nich było“, wtenczas z pod pal-ców Jędraka poczęły płynąć czary. Legenda rosła o tych skrzypcach i nikt nie wiedział, że Jędraka miłość grać uczyła, a sny po nocach na skrzy-dłach tęsknot znosiły mu zakłętą czary tonów.

Jedyna chyba Janka poznała oną tajemnicę, gdyż artyzm Jędraka rósł w jej zdumionych oczach pospolu z jego wejrzzeniami, najbardziej zaś wi-docznie — kiedy go sama poprosiła o zagranie.

I wtenczas Jędrak nie widział świata i nic naokół, zatonął w sobie nieprzytomny, cały przeistoczony w struny i powódź złotych gło-sów, do ostatniego nerwu przejęty władzą uczuć, iż sam nie wiedział — czy grał na skrzypcach, czy ciągnie smyczkiem po swoim własnym sercu.

Czasem tylko, gdy kończył pieśń, lub kiedy struny rozkładały się do najwnikliwszych wibrów, podnosił na Jankę oczy ciche, rozmiłowane do zenitu, przymglone szczęściem, z których płynęły słowa zachwytniej duszy, niedościgłe w wymo-wie, słowa z cudów uwire:

— To serce moje tobie śpiewa, królowo...

Usta się rwały do okrzyku, do próśb i zwie-rzeń, ale je dławili rozpaczliwie. Oczom tylko poradzić nie mogli, na nie zabrakło mu sposobu.

I zasnę dzisiaj, jak przez tyle wieczorów, przez całą nienal wiosnę, w ciepły niedzielny wieczór — grał Jance. Siedział pod limbą za zagrodą, kędy ląka stykała się z regłami i z na-maszczeniem niezwykłym, jakby wypełniał jakiś świątynny obrzęd — wodził smyczkiem po rozśpiewanych strunach z taką lubością prze-troskliwą, z takim oddaniem i czułością, jak gdyby pragnął świat cały zaczarować i skraść mu skarby swoich największych tęsknot.

Od kilku dni wzbierała już w nim fala dziwna, ogromna, że miejsca sobie znaleźć nie mógł. Nigdy miłość nie rozgorzała w nim do tego stopnia, nigdy nie ogarnęło go tyle tajemniczych szeptów i złud, przywidzeń jakichś, co teraz właśnie.

I oto dzisiaj w ten ciepły, prawie gorący wieczór, pełen niewymownych uroków, ciszy i czarodziejskich zmlerzchów — ustał pod limbą i jał grać hymny niepojęte, niezasłyszane nigdy pieśni, nokturny i słodkie kantyleny — tak, jak mu szeptała dusza, jak niosło je uczucie — raz, jakby z łez, ze smutku, to znów jak z jęków tęsknot i upragnień, z radości i nadziei — — grał pełnią serca, nieświadom amysłów, wyr-wany z rzeczywistości — — wygrywał dzieje swego wnętrza i ból i szczęście, jakieś orędzie i gorączkowe majaczenia — dopóki siły zeń nie uszły, nie opadły znużone ręce i nie uwiedły nerwy.

Wtedy głowa spadała mu na piersi, przymy-kał oczy i trwał tak długą chwilę oszłomiony, wśród innych światów, jak w iunatycznym śnie, a gdy odzyskał władzę i zebrał myśli — ujmo-wał znowu skrzypce w ręce, jakby nie skończył jeszcze pieśni, nie wyśpiewał natchnienia, lub jakby ulgi szukał upragnionej.

Jedno, jedyne tylko wiedział, że się rozkochał do obłędu i że go słucha ona...

Że tam w altanie, jaką w początku wiosny jej zbudował, siedzi jak zwykle o tej porze, smutna i zamyślona i pije razem z rosą jego miłosne granie.

Zdawała mu się teraz królową z zakłętą zamku, którą mocarne duchy strzegą... Tak, jak